Gazeta dla Kobiet

Miesięcznik ilustrowany
Rok XXVIII Marzec 1936 Nr. 3



Katolicki Związek Kobiet w Polsce nietylko reprezentuje, ale urzeczywistnia także w szarym codziennym mozolnym trudzie wielką, świętą ideę przeorganizowania Polski w potężne Królestwo Chrystusowe i natchnienia kobiety polskiej duchem najwznioślejszym. Myśl tę i program ten szerzy i apostołuje centralny organ Wasz: „Gazeta dla Kobiet".

Rzetelnej i pięknej pracy Waszej współtowarzyszę serdecznemi życzeniami i czułą modlitwą o Boże Błogosławieństwo na obfity w Polsce Chrystusowy plon.

Poznań, dnia 12 lutego 1936 r.

+ August Kard. Hlond

25 MARCA

117.065 kobiet w Polsce odmówi — przed obrazem Zwiastowania Najśw. Marji Pannie — oświadczenie, że: obowiązki i zadania apostolstwa świeckich znają i uroczyście przyrzekają wypełniać je w miarę sił i możności, oraz prowadzić życie takie, jakie katoliczce prowadzić przystoi, aby przykładem życia własnego — bliźnich do Boga kierować i na żywot wieczny zasłużyć.

Kto to są te kobiety?

To **członkinie Katolickiego Związku Kobiet,** które w swoje święto organizacyjne, Zwiastowania Najśw. Marji Pannie odnawiają swe przyrzeczenia, by utrwalić swe zobowiązania, które na siebie dobrowolnie wzięły, wstępując do kobiecej organizacji Akcji Katolickiej.

Co to jest Katolicki Związek Kobiet?

To jedna z czterech organizacyj ścisłej Akcji Katolickiej, to **jedna z czterech kolumn, która** wraz z Katolickim Związkiem Mężów i dwoma Katolickiemi Związkami Młodzieży **gmach Akcji Katolickiej wspiera.**

Katolicki Związek Kobiet to 117.065 członkiń, które wszystkie pragną szerzyć Królestwo Chrystusowe w sobie i wśród swojego otoczenia,

które chcą spełnić obowiązek chrześcijanina, mianowicie dopomagania biskupom i kapłanom w wielkiem dziele szerzenia zasad chrześcijańskich.

I dlatego

uczą się, lub przypominają sobie, **pogłębiają prawdy religji katolickiej** i zastanawiają się, jak żyć według tych prawd,

poznają **obowiązki** prawego **obywatela** i jego stosunek do państwa,

zapoznają się z **obowiązkami kobiety** i jej **prawami,**

uczą się prawdziwego **miłosierdzia** na Chrystusowym duchu opartego,

szerzą oświatę i naukę katolicką, poznają katolickie **zasady życia gospodarczego i zawodowego,** by mieć jasne pojęcie sprawiedliwego współżycia ludzi,

przestrzegają katolickich **zasad higieny i wychowania fizycznego,** oraz szerzą katolicki **ruch trzeźwości.**

Czy mogłyby kobiety same, pojedyńczo wykonać te zadania, określone statutem?

Nie mogłyby tego dokonać, a nawet luzem istniejące oddziały nie przeprowadziłyby tak wielkich zadań.

Dlatego istnieje **Związek,** jeden **na całą Polskę** z siedzibą w Poznaniu, który daje program i wskazówki **Stowarzyszeniom diecezjalnym,** te znów przekazują — polecenia **Oddziałom parafjalnym,** zakładają Oddziały, służą im pomocą i radą.

Osiągamy przez to jedną wielką jedność, która jest ładem, a tem samem **siłą.**

Związek tworzy jedną wielką rodzinę, której członkowie zamieszkują w różnych parafjach, różnych miastach, w różnych stronach Polski.

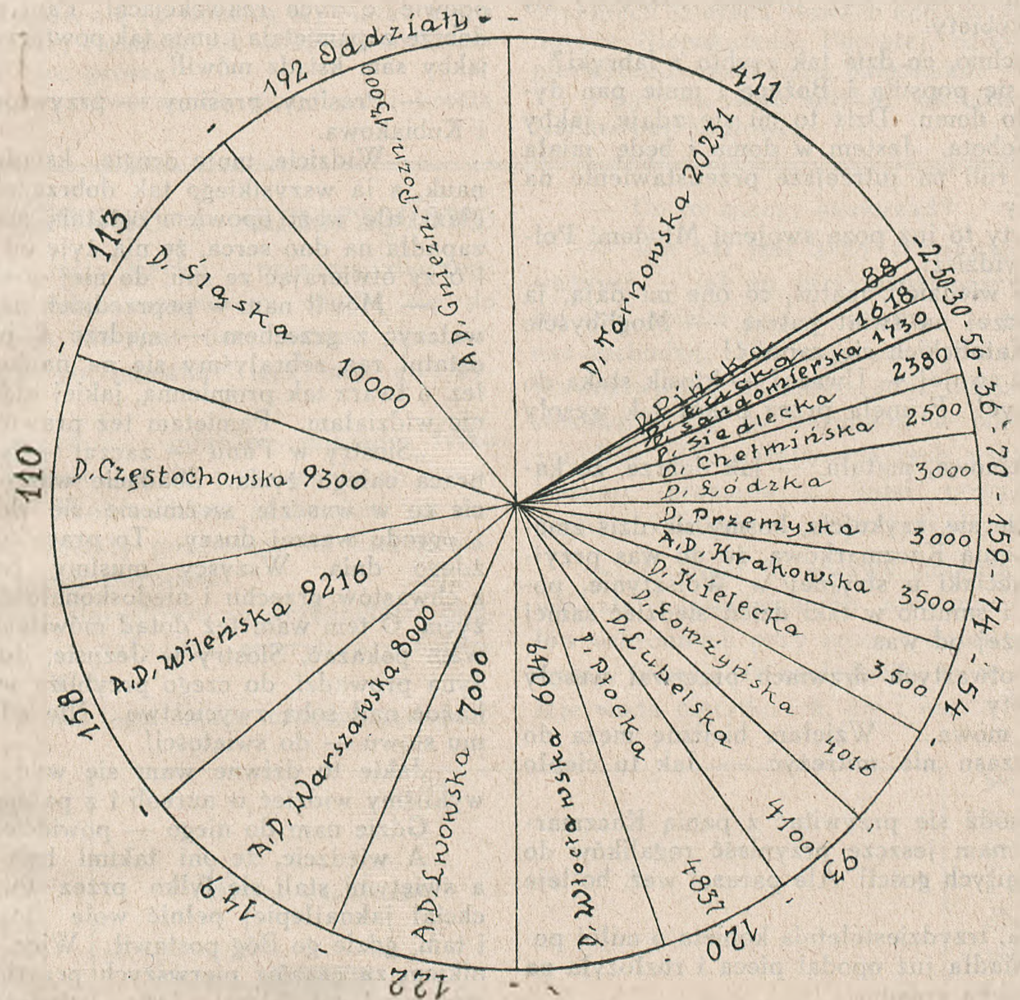
Jak miło to przy zmianie miejsca zamieszkania dowiedzieć się, że w miejscu świeżego pobytu jest Oddział. To tak jakby znajdowało się w znanej miejscowości. Bo będą te same zebrania, te same wykłady, te same uroczystości, to samo pismo organizacyjne.

Jak starego znajomego powitamy **„Zjednoczenie"**, związkowe pismo dla Kierownictw, o którem niektóre Oddziały piszą, że pracowaćby już bez niego nie umiały.

Gazeta dla Kobiet, pismo organizacyjne dla członkiń, doręczone na pierwszem zebraniu, stworzy poczucie łączności w nowem otoczeniu.

Tę przynależność rodzinną stwierdzi nasza **oznaka** związkowa. Prosta lecz piękna; napisem „dla Chrystusa i Ojczyzny" oznajmiająca, że pragniemy szerzyć Królestwo Chrystusowe dla szczęścia naszego kraju.

Do tej rodziny **należą wszystkie stany,** bez względu na zamożność i wykształcenie, **pod tym jednym warunkiem,** że każda członkini **oświadczy** i **wykaże gotowość życia według zasad chrześcijańskich oraz szerzenia ich w swem otoczeniu.**



Powyższe koło przedstawia stan oddziałów i członków Katolickiego Związku Kobiet w 20 diecezjach Polski. Liczby poza kołem oznaczają ilość Oddziałów, wewnętrzne liczby ilość członków poszczególnych Stowarzyszeń diecezjalnych.

By tę wielką rzecz osiągnąć, nie może nasza rodzina organizacyjna dopuścić, by wśród członków były możliwości kłótni i niezgody, dlatego wykluczone są z jej pracy wszelkie tematy i działania partyjno-polityczne.

Na naszym obrazku organizacyjnym mamy również Akt Ofiarowania się Najśw. Marji Pannie, który odmawiają członkinie wszystkich stowarzyszeń żeńskich, należących do Akcji Katolickiej z całego świata.

Składamy w nim Matce Najświętszej „wszystkie nasze nadzieje i pociechy, nasze cierpienia i nędze... by za Jej Najświętszą przyczyną i dla Jej zasług wszelkie prace nasze podejmowane były wedle Jej i Jej Boskiego Syna woli".

Nie możemy więc już żyć bez zainteresowań i bez zobowiązań.

Skrępowane jesteśmy swą własną dobrowolną zgodą, by służyć Marji i Jej Boskiemu Synowi. By służyć za przykładem Tej, która w chwili Zwiastowania nazwała siebie „*Służebnicą Pańską*".

Z. S.

SOBOTNIA WIZYTA...

Szaro na dworze. Niebo powleczone ciężkiemi ołowianemi chmurami, deszcz tnie w szyby. Katarzyna Kubiakowa zmoknięta, mimo dużego mężowskiego parasola, szuka w fałdach szerokiej spódnicy klucza od mieszkania. Wtem drzwi otwierają się same.

— Mamo, dy się nie męczcie woła wysoka, smukła dziewczyna, odbierając od matki ociekający parasol, koszyk z zakupami i zmokniętą chustkę.

— Zapaliłam w piecu i nagotowałam kawy, żebyście nie przeziębli matko! Łzy radości zakręciły się w oczach starej kobiety.

— A ty córuchno, co dziś tak rychło z fabryki?

— Maszyna się popsuła i Bożenę i mnie pan dyrektor odesłał do domu. Dziś to mi się zdaje, jakby było święto — Sobota. Jestem w domu i będę miała czas nauczyć się roli na jutrzejsze przedstawienie na naszej wieczornicy.

— Oj Anka, ty to już poza swojemi Młodemi Polkami świata nie widzisz!

— Gdybyście wiedzieli, matuś, co one mi dają, ja dziś zupełnie inaczej na świat patrzę. — Moglibyście i wy do Kobiet Katolickich się zapisać!

— Ty zawsze swoje! — Uważaj — ktosik stuka do drzwi, idź otworzyć! Frunęła przez pokój jak wesoły ptaszek.

— Pani Marcinowa, matulu, — jak dobrze, że kawy nawarzyłam!

— A szykujcie się, szykujcie, bośmy się dziś zmówiły na targu z panią Kaczmarkową, że do was przyjdziemy. Moje dzieciaki u stryjnej w Wolsztynie, porządki porobiłam i smutno w taki dzień siedzieć samej o piętro tylko wyżej od was.

Rozmowę w otwartych drzwiach przerwał wesoły głos młodej kobiety.

— „O wilku mowa..." Wzięłam bieliznę męża do naprawy, żeby czasu nie mitrężyć. — Jak tu ciepło u was!

— Anka! Chodź się przywitać z panią Kaczmarkową i zaraz leć nam jeszcze przynieść rogalików do kawy dla takich miłych gości! Ale parasol weź, bo leje jak z cebra!

Nowoprzybyła, trzydziestoletnia kobieta o miłej powierzchowności usiadła już opodal pieca i rozłożyła na kolanach przyniesioną robotę.

— Oj pani Katarzyno, co wy macie za skarb w waszej córce, to ani wiecie! Słyszę o niej, boć sama w Stowarzyszeniu Kobiet Katolickich pracuję, to się i młodemi interesujemy. Mądra ona i dobra, że pono przykładem świeci wszystkim dziewczętom w Stowarzyszeniu. — Już nie może być, pani Katarzyno, byście i wy do Akcji Katolickiej nie należeli! Mówię wam, jestem innym człowiekiem odkąd tylu się tam dobrych rzeczy dla mej duszy nauczyłam!

— Jak Anka, ona mi to samo przed kwadransem powiedziała.

— Ja wam powiem, moja pani Katarzyno, że teraz dopiero Boga i ludzi rozumieć zaczynam i wierzę w to święcie, co nam teraz na rekolekcjach zamkniętych mówił Ksiądz Asystent, że każda z nas może zostać świętą i to wielką świętą.

— Pani Kaczmarkowa! — Pani się musiała przesłyszeć. Ja może nie uczona, nie czytałam różnych książek, jakie pani bierze z parafji, ale żywoty Świętych — Skargi mam i co niedziela je czytam po nieszporach. To wiem, że oni inni ludzie, niż my; to albo męczennicy, jak św. Wawrzyniec, św. Cecylja, albo zakładają zakony, albo żyją w jaskiniach i na pustyni, ale przecie ani pani, ani ja nie rzucimy mężów i dzieci i nie pójdziemy na pustynię. Co to wiele mówić moja Pani — ich już Pan Bóg inaczej stworzył i dał im inne łaski, ale my proste kobiety... Lepiej sobie do głowy takiego czegoś nie przybierać!



Zagadane kobiety ani nie zauważyły, jak młoda dziewczyna stanęła w drzwiach i słuchając ich rozmowy wodziła po obecnych roziskrzonym wzrokiem.

— Mamo — nie wytrzymała — pani Kaczmarkowa ma rację. O, niech pani opowie o tych rekolekcjach! Pani tak dobrze zapamiętała i umie tak powtórzyć, jakby sam ksiądz mówił!

— Prosimy, prosimy — przywtórowały Marcinowa i Kubiakowa.

— Widzicie, moje drogie, ksiądz miał jedenaście nauk, a ja wszystkiego tak dobrze zapamiętać nie mogłam, ale wam opowiem ostatnią naukę, która mi tak zapadła na dno serca, że nią żyję od rana do wieczora, i oczy otwierając ze snu, do niej wracam.

— Mówił nam w poprzednich naukach jak to mamy walczyć z grzechem — mądrze i pięknie, ale kiedy ostatni raz zebrałyśmy się na naukę miał oczy pełne łez, a twarz tak promienną, jakiej nigdy jeszcze u niego nie widziałam. Pamiętam też prawie każde słowo.

„Siostry w Panu — zaczął — praca nad sobą, to praca całego życia. Zbadacie wasze sumienia, poznacie co w was złe, weźmiecie się do karczowania go z ogrodu waszej duszy. To praca całego życia i każdego dnia. Wszyscy musimy bezustannie plewić z chwastów grzechu i niedoskonałości ścieżynę naszego życia. O tem wam też dotąd mówiłem, ale teraz pragnę wam pokazać, Siostry w Jezusie, dokąd ta szara dróżyna prowadzi, do czego przybliża was każdy wysiłek, każde nad sobą zwycięstwo. Nie zdziwcie się wielkiemu słowu — do świętości!

Jakie to dziwne wam się wyda. Świętego przywykliśmy widzieć w aureoli i z palmą na ołtarzu.

Gdzie nam do niego — powiecie.

A wiedzcie, że oni takimi byli ludźmi, jak my, a świętymi stali się tylko przez to, że każdy z nich chciał jaknajlepiej pełnić wolę Bożą w ten sposób i tam, gdzie go Bóg postawił. Więc jeden był męczennikiem za czasów pierwszych prześladowań, inny apostołem-nauczycielem. Jeden uświęcił się na tronie, drugi w pustelni, trzeci przy szarej codziennej pracy. — Ot, św. Zyta była służącą nieuczoną, a przy jej prostych kobiecych obowiązkach, rozkwitł kwiat jej świętości!

Ja wam chcę jednak postawić wzór piękniejszy i jeszcze bliższy sercu naszemu — wzór szarego codziennego kobiecego życia żony robotnika. Mąż jej pracował w warsztacie. Ubogi domek rzemieślniczy zdobił jedyny zbytek ubóstwa — czystość. Matka w tym domku sama z pewnością tkała skromne odzienie dla męża i syna, zamiatała, sprzątała, gotowała, nosiła wodę z odległej studni, piastowała Swoją maleńką Dziecinę. Jakże zwykłe i proste było Jej życie! Nie głosiła kazań, nie napisała żadnej książki, nie zginęła męczeńską śmiercią na arenie rzymskiego cyrku. — Wszystko w Niej było proste, zwykłe, małe, takie jak życie każdej ubogiej kobiety.

Wielką była tylko Jej miłość do Boga, wielką pokora, która na dnie serca chowała najcudowniejszą tajemnicę — Wcielenia!

Maleńki Nazaretański domek, którego była gospodynią był podobnym do miljonów domków ubogich robotników, jakie przed nim i po nim istniały. A w tym małym domku wzrastało zbawienie świata, a ta cicha,

pokorna żona i Matka wybraną została przez Pana na Królową nieba i ziemi.

Miłość Boga uświęcała każdą Jej pracę, a pokora pokrywała milczeniem pełnię łask, jakiemi obsypywał Ją Jej Boski Oblubieniec.

Ciche, codzienne życie było udziałem Najświętszej ze świętych, Najczystszej z czystych — Niepokalanie Poczętej.

Ona nam też najśliczniejszym wzorem.

Czyż każda z nas nie może zamienić swego domu na cichy Nazaret, a uświęcając dobrą intencją, każdą pospolitą czynność domową, uświęcić siebie i swych bliskich, nie tylko na wzór, ale i z pomocą tej Matki, która jest Matką Łaski Bożej i niczego nie odmawia dzieciom Swym, gdy Ją o pomoc proszą.

Idźmy za Nią... a otworzy się przed nami prosta ścieżka do świętości..."

Cisza zaległa pokój. Ania siedzała nieruchoma z twarzą ukrytą w dłoniach. Kubiakowa ukradkiem wycierała nos i łzy spadające po twarzy. Młoda kobieta opuściła ręce na robotę, zapatrzona gdzieś w dal w wizję cichego Nazaretańskiego domku, o którym opowiadać przestała.

Deszcz ustał. Rozdarły się szare, ciężkie chmury i przedarł się złoty promień zachodzącego słońca, sobotni promyk, co to na pamiątkę dziecięctwa Jezusowego musi w sobotę choć na chwilę rozświecić, by wysuszyć poprane przez Marję Pannę Jezusowe pieluszki.

Wyszedł teraz przez okno i spoczął na cicho pochylonych czterech głowach kobiecych i zatrzymał się na figurze Niepokalanie Poczętej, ozdobionej rękami Ani pierwszemi wiosennemi gałązkami.

I padł na serca ludzkie, jak ciche błogosławieństwo Niebieskiej Królowej. *S. M.*

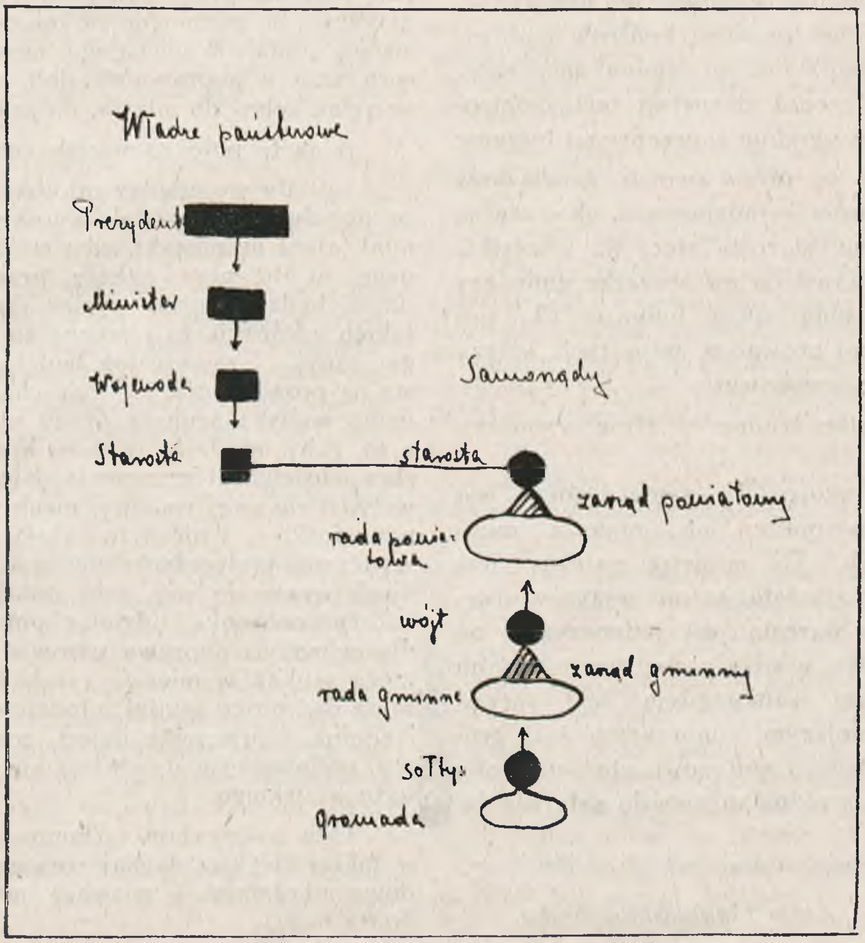
Władze państwowe i samorządowe

— Wytłumacz mi, Maćku, proszę, dlaczego z wszystkiemi sprawami urzędowemi chodzi się do sołtysa? Przecież on nie jest urzędnikiem państwowym, nie mianuje go minister, lecz my go wybieramy.

— Masz rację, Haniu, minister mianuje tylko urzędników: jak wojewodów do poszczególnych województw i starostów. Województwa są bowiem tak dużemi obszarami, że zostały podzielone na szereg starostw, rządzonych przez starostów.

I wojewodowie i starostowie są urzędnikami państwowymi. Czyli mają stały etat, emeryturę państwową, zniżki kolejowe i t. d.

— Tak, lecz prócz tego, będąc urzędnikami państwowymi są w stosunku do nas przedstawicielami władzy państwowej i musimy w nich tę władzę państwową uznawać i szanować.



— Teraz rozumiem, co opowiadał Władysław ojcu, że p. Kłótnicki, za to, że był niegrzeczny dla starosty, został skazany przez sąd na karę za nieposzanowanie władzy państwowej. To pewno chodziło o obrazę starosty, jako urzędnika państwowego.

— Tak, Haniu.

— Ale miałeś mi wytłumaczyć o sołtysie.

— Sołtys jest przedstawicielem samorządu — jest pierwszym w gromadzie.

— Co to znaczy samorząd?

— We wsi jest dużo rozmaitych spraw dla nas ważnych — jak np. utrzymanie naszych dróg, porządku we wsi, opieka nad biednymi i t. p., które specjalnie nas obchodzą. Nie mogą one być załatwione przez województwo lub starostwo, gdyż musimy załatwić je, dostosowując się do warunków w jakich nasza wieś się znajduje. Dla załatwienia tych wszystkich spraw, wybieramy gromadę z ludzi poważnych, uczciwych, godnych zaufania, a pierwszym w gromadzie jest sołtys.

— A jeżeli są sprawy dotyczące nietylko naszej wsi, ale i sąsiednich, np. utrzymanie w porządku wałów ochronnych przy rzece. Jeżeli tylko my je utrzymamy, a sąsiedzi zaniedbują, to w razie powodzi, zaleje woda nietylko ich, ale i nas.

— To są już sprawy gminy. Gromada wybiera rady gminne która postanawia, co i jak trzeba zrobić, a dla wypełnienia tych postanowień naznacza spośród siebie tak zwany zarząd gminy, na czele którego stoi wójt. Zarząd gminy załatwia wszystko, co dotyczy całej gminy.

— A jeżeli są sprawy obchodzące kilka gmin?

— Nato mamy radę powiatową, która zbiera się co pewien czas i radzi nad wszelkiemi potrzebami powiatu. Wybiera ona spośród siebie zarząd powiatowy, który wykonuje uchwały rady, podobnie jak zarząd gminy, uchwały rady gminnej. Na czele zarządu po-

ZOSTAJEMY NA WSI

Małe dzieci — mały kłopot, duże dzieci — duży kłopot — skarżyła się matka dorastających synów. Ziemi mamy niewiele — nie można dzielić gospodarstwa między czterech chłopców, bo gospodarka zmarnieje — więc co robić z dziećmi?

Ziemię zostawiamy najstarszemu synowi i ten już się przyucza do pracy. Może uda nam się posłać go jeszcze na rok do szkoły rolniczej, ale zostają w domu jeszcze trzej chłopcy.

Takie myśli i takie zapytania przychodzą do głowy wszystkim rodzicom i w mieście i na wsi.

Byłam świadkiem zebrania, gdzie wszystkie kobiety radziły na tą sprawą. Po przemówieniu delegatki szkół zawodowych, która wyjaśniała, jakie są szkoły gospodarcze, ile kosztują, jaką pracę zapewniają, odezwały się matki: — Dawniej było wszystkim łatwiej. Kto nie miał miejsca na roli, szedł do miasta. Szli ze wsi: i do służby, i do fabryk, inni do szkół, a nawet na uniwersytety. W mieście jest dużo ludzi ze wsi i nietylko w służbie, czy rzemiośle. Między urzędnikami i lekarzami i adwokatami też są synowie włościańscy. Tak było dawniej. Dzisiaj inaczej. Miasto pełne jest bezrobotnych. Tysiące ludzi — czeka na jakąkolwiek pracę — to przecież niema poco wysyłać dziecka do miasta. Żeby posłać syna do szkoły — nie mamy dzisiaj pieniędzy — ledwie starczy na utrzymanie gospodarstwa i na podatki.

Na to wstała młoda kobieta i tak mówi: — Jest źle — ale nietylko u nas. — Ciężko jest na całym świecie, ale nie jest jeszcze najgorzej. Właśnie jest teraz czas, żeby wieś znalazła pracę dla swoich dzieci na wsi. Bo czy to dobrze było dawniej, że co zdolniejsze dziecko, co pilniejszy chłopiec, to już rodzice starali się, żeby go wypchnąć do miasta. Jak zdolny — to niech będzie urzędnikiem, albo chociaż rzemieślnikiem, ale w mieście. Jak niezdolny — jak leniwy — to niech zostanie na gospodarce, dla roli i taki wystarczy.

A czy to wieś nie potrzebuje zdolnych i mądrych ludzi? A czy to dobrze, że wieś pcha się do miasta za byle jakie nieraz wynagrodzenie, a na wsi i krawiec — miejski, — i szewc — miejski, i kupiec żyd z miasteczka, — i ochroniarka — panienka z miasta, znudzona wsią? I kto idzie z miasta na wieś? Marny szewc, zła krawcowa — a jak trzeba coś uszyć — to wieś musi iść do miasteczka — bo na wsi niema dobrych rzemieślników. Sama pochodzę ze wsi, jestem wyuczoną położną, i wróciłam na wieś. — Pracuję chętnie wśród swoich — nie nudzę się na wsi — bo tu się urodziłam, mam małe potrzeby, bo mi miasto w głowie nie zawróciło. Razem ze mną pojechała do miasta na naukę koleżanka z tej samej wsi. Poszła do restauracji nauczyć się gotować, żeby później służyć jako gospodyni. Była ładna i zgrabna, wzięli ją za kelnerkę. Dzisiaj chodzi umalowana, ładnie ubrana — do rodziny na wsi się nie przyznaje, a rodzice też z niej honoru nie mają. Niech młodzi ze wsi idą do miasta na naukę, ale niech wracają na wieś.

Ale nie wszystkie zebrane były tego zdania. Wstała młoda dziewczyna, zarumieniła się zawstydzona, że przemawia do takiego dużego zebrania, ale mówiła śmiało:

— Dobrze, niech wieś zostaje na wsi — ale przecież trzeba, żeby w mieście na wysokich urzędach, i w wojsku, i w rządzie — byli ludzie ze wsi. Nie możemy się zamknąć, bo nie można się tak oddzielać od miasta, żeby się nie oddzielić od całego narodu. Dla jedności i dla walczenia o poprawienie doli ludu wiejskiego, musimy wysyłać kogoś do miasta, do szkół i na urzędy.

A na to położna wiejska odpowiedziała:

— Gdy się między młodzieżą na wsi znajdzie ktoś, co ma duże zdolności do wysokich stanowisk, albo będzie miał talent do muzyki, albo powołanie do stanu duchownego, to już przez szkołę, przez nauczyciela — takie dzieci będzie można wysłać do szkół w mieście. Dla takich zdolnych, to i pomoc się znajdzie z różnych organizacyj. I zawsze tak będzie, że ktoś ze wsi do miasta na posadę pójdzie. Ale chodzi o to, żeby cała młodzież wiejska szukała pracy u siebie na wsi. Chodzi o to, żeby młodzież wiejska kochała swoją wieś i swój stan włościański szanowała. Niech wyuczony kupiec nie wstydzi się swej rodziny, niech wraca do swojej rodzinnej wioski — i niech tu założy uczciwy interes. Niech wyuczona pielęgniarka nie szuka posady w mieście, ale niech wraca do wsi, żeby tutaj, w rodzinnem miejscu założyć ochronkę, udzielać porad kobietom, pracować dla ochrony i poprawy zdrowia na wsi. Dzisiaj wieś nie może szukać w mieście zarobków i pracy. Wieś musi sama dać pracę swojej młodzieży. A może przez to, że i zdolne, i pracowite dzieci zostaną pracownikami na wsi, podniesie się stan włościański i poprawi trudna dola ludu wiejskiego.

Tyle usłyszałam. Dumna byłam, że nasza wieś w takiej ciężkiej dzisiaj sprawie, jak przyszłość zawodowa młodzieży — rozważa, myśli, umie sama znaleźć dobrą radę. *L. W.*

---

wiatowego stoi starosta. Jest to najwyższy stopień samorządu[1]).

— Teraz już nic nie rozumiem; mówiłeś mi, że starosta jest urzędnikiem państwowym, a teraz twierdzisz, że jest przewodniczącym zarządu powiatowego.

— Tak, starosta piastuje obydwa te urzędy — a prócz tego ma z ramienia państwa kontrolę nad zarządem gminnym i gromadzkim, np. gmina chce założyć szpital, robi to, ale rzeczą starostwa jest skontrolować, czy robi to dobrze, zgodnie z przepisami higjeny.

Wójt i sołtys mają też prócz swoich obowiązków samorządowych jeszcze inne — mianowicie, choć nie są urzędnikami państwowymi, starosta zleca im wszystkie sprawy urzędowe do załatwienia na obszarze gmin czy gromady, jak np.: oni robią spisy ludności dla podatków, dla wyborów; oni prowadzą spisy tych, którzy są obowiązani do służby wojskowej.

— Bardzo to wszystko trudne — i nie wiem czy dobrze zrozumiałam.

— No, to ci narysuję. U samej góry jest pan Prezydent Rzeczypospolitej on mianuje ministra spraw wewnętrznych. Od ministra zależny jest wojewoda, od wojewody starosta, są oni wszyscy urzędnikami państwowemi. Starosta jest jednocześnie na czele zarządu powiatowego, a więc najwyższego organu samorządu — mniejszym samorządem jest zarząd gminy z wójtem, najmniejszym samorządem jest gromada z sołtysem. Wójtowi i sołtysowi, starosta, jako urzędnik państwowy, zleca różne sprawy do załatwienia.

[1]) W województwach byłego zaboru pruskiego są jeszcze sejmiki wojewódzkie.

Zofja Lipkowska-Górska.

ONA JEST MIŁA

— Ona jest miła. — Tak mówią o niej ludzie. My jej nie znamy i nic o niej nie wiemy. Czy jest młoda? Ładna? Mądra? Niewiadomo. Podobno jest tylko „miła, przemiła!" Na podstawie tego określenia możemy więc sobie tylko wyobrazić wyraz jej twarzy. Napewno będą ku nam uśmiechać się usta jej i łagodnie ku nam spoglądać oczy jej. Jakie usta? Brzydkie? Blade? Szerokie? Stare? Niewiadomo! Ale uśmiechnięte. Jakie oczy? Wypłowiałe? W pomarszczonej oprawie? Skośne? Zaczerwienione od płaczu? Niewiadomo! Ale łagodnie i głęboko na ciebie patrzące. Jakie ręce? Nierasowe? Zartretyzmowane? Czerwone? Niewiadomo! Ale serdecznie ku tobie wyciągnięte. Jaki głos? Dźwięczny? Chropowaty? Matowy? Niewiadomo! Ale ciepły w tonie.

— Ona jest miła! — Tak mówią o niej ludzie i uśmiechają się. Co to znaczy „miłą"? „Miła", to znaczy... kochana przez ludzi. „Miła", to znaczy... kochająca ludzi, wyrozumiała, pogodna i dobra. Czy można nauczyć się być miłą? Czy też to miłe usposobienie, ten wdzięk osobisty przynosi się ze sobą na świat?

Raczej jest to wrodzone. Często jednak przychodzi też z latami doświadczenia i z latami nabycia mądrości życiowej, pod wpływem zrównoważenia i opanowania.

Dziecko, obdarzone od natury miłem usposobieniem, gaworzy w poduszkach samo do siebie i wyciąga rączki do obcych. Nie jest ładne, ale je wszyscy pieszczą. Wychowywać daje się łatwo, nie kaprysi, nie napiera się, nie wymaga „gwiazdek z nieba" i „kafelków z pieca". Natomiast za wszystko jest wdzięczne: za lalkę, za cukierek. Za pogłaskanie po twarzy. Za miłe słowo. Za dobry stopień.

— Ta dziewczynka ma szczęśliwe usposobienie — mówi się o dziecku, które, widząc na ulicy dwie swoje rówieśniczki — jedną w samochodzie, a drugą żebrzącą — nie będzie zazdrościło bogatej, a natomiast dziękować będzie w paciorku Bozi, że jej dał „chleb powszedni".

Ta „miła" dziewczynka już w szkole jest kochana i popularna. Cieszy się ona ze wszystkiego: z tego, że koleżanka poprawiła sobie stopień z arytmetyki! I z tego, że na imieniny dostała nowy mundurek!

Naodwrót ta „miła" dziewczynka nie ma w sobie ani trochę podejrzliwości. Jeżeli dostanie czwórkę, przyzna rację nauczycielce, że się „lekcji nie nauczyła" i nie posądzi jej o złe chęci, lub uprzedzenie w stosunku do siebie. Z koleżankami się nie kłóci, bo jakoś nigdy nie ma o co. Zosia, ta z pierwszej ławki, powiedziała jej to i to.

— Może nie chciała. Może jej się to tylko tak „wyrwało" niechcący?

I już pocałunek. I już objęcie wpół w klasie.

Jeżeli dziś deszcz pada, to „miła" dziewczynka i w tem znajdzie dobrą stronę napewno (przecież oddali jej pantofle do podzelowania — to i tak nie miałaby w czem pójść na spacer).

Jeżeli nie pojechała z klasą na wycieczkę to i tak się nie martwi. Niema przecież tego złego, coby na dobre nie wyszło. We trzy z Basią i Terenią chodzą przez cały tydzień do parku, bawią się świetnie i nic rodziców to nie kosztuje.

Ta sama dziewczyna, jeżeli będzie uczęszczała czasem na wyższe studja, da sobie radę świetnie przy egzaminach.

Niczem naprzód nie będzie się gryzła. Zda — to dobrze. Nie zda to trudno! Muru przecież głową nie przebije. Ale wszystko zrobi możliwe, żeby zdać i prędzej być samodzielnym człowiekiem. Ma moc przyjaciół.

— Ona jest miła — mówią o niej koleżanki. — Pomoże. Wysłucha zwierzeń przyjaciółki. Nie robi plo-



tek. Nie odbija cudzych narzeczonych. Jest solidarna i koleżeńska.

— Ona jest miła — mówią o niej koledzy. — Ma wdzięk. I zawsze się uśmiecha.

Na udzielanych lekcjach jest cierpliwa. Tłumaczy po trzy razy łopatą w głowę i jeszcze coś wesołego na zakończenie powie. Uczniowie ją kochają. Wieszają się jej na szyi. Obejmują ją za kolana i tęsknią za nią... w niedzielę.

Taka „miła" dziewczyna, jeżeli wyjdzie zamąż, jest bardzo kochana przez męża.

Umie go zrozumieć i odczuć, osłodzić mu ciężką pracę zawodową i umilić trudne warunki życia.

Pogoda panuje wszechwładnie w jej domu. Przez różowe okulary patrzy się razem z nią na świat i ludzi. Pokłada zawsze najlepsze nadzieje na przyszłość. Przed nią otwierają się zawsze, jakieś nowe widoki powodzenia. Do niej świat zawsze się uśmiecha. Ludzie jej nigdy nie zawodzą (nie są przecież ani tacy źli, ani tacy samolubni, jak na to wyglądają).

Jeżeli ta „miła" kobieta z tych, czy innych względów nie wyjdzie zamąż, to nie ma o to nigdy żalu ani do świata, ani do mężczyzn.

— Nie można im się przecież dziwić — mówi „że boją się żenić w tych ciężkich czasach". I na tem koniec. Znajdzie ona szczęście w pracy, w cudzych ogniskach domowych, w cudzych dzieciach i we własnych czterech ścianach odnajętego pokoju.

Jest jej dobrze. Sama sobie wystarcza i niczego od nikogo nie potrzebuje. Samodzielność — to jest miła rzecz, bez zaprzeczenia. Niemiłą zato rzeczą jest niedobranie charakterów, rozwód, wdowieństwo. Więc może nawet lepiej, że zamąż nie wyszła.

— Tak... jak jest nie jest dobrze, ale stanowczo mogłoby być gorzej.

I owa „miła" kobieta uśmiecha się do siebie.

A na starość? Na starość jest poprostu już „przemiła"! Siwa. Pomarszczona. Starannie ubrana. Rozkochana w młodości swych wnuków, czy siostrzeńców. W pięknie świata. W postępie nauki. Zaciekawiona tem, co ją otacza i zrezygnowana z tego, co odeszło.



Codzień dziękuje ona Panu Bogu za to, co jej zechciał dać i za to, od czego ją raczy uchronić. Każda pora życia ludzkiego ma przecież swoje radości. Więc i starość ma pogodę i spokój po walce lat młodych, po zdanym egzaminie życiowym.

Okulary (inaczej już nie może czytać). W trąbkę złożona ręka... (Inaczej już nie słyszy). Laska (inaczej już nie chodzi).

No i cóż z tego? Są tacy, którzy nie słyszeli nigdy. Nie widzieli świata. Nie biegali i nie tańczyli. A ona, mój Boże, ileż to ona wyskakała się w życiu za młodych lat!

Więc uśmiech. I łagodnie patrzące oczy. I wyciągnięte do ludzi ręce. „Ona jest miła", mówią o niej ludzie.

Jaka jest? Ładna? Mądra? Młoda? Stara?

Niewiadomo!

Ale wiadomo, że jest... przemiła...

Przedr. z „Nasze życie".

TEŚCIOWA — ŚWIEKRA...

Zgóry powiedzieć trzeba, iż z całego grona rodziny te dwie osoby (a szczególnie teściowa!) cieszą się naogół najmniej pochlebną opinją: ich-to śmieszne dziwactwa przedstawia cały szereg rysunków humorystycznych; o nich mówią, z nich się wyśmiewają tysiączne dowcipy, anegdoty i koncepty — ale czy słusznie? W salonach mówi się o teściowej, że: „siedzi na kanapie i wszystko ma za złe!" A w pieśni ludowej dziewczyna błaga matkę swą, by jej nie wydawała „w tę daleką, obcą stronę", gdzie „cudzy ojciec, cudza matka — nie biją, a boli!..."

Wartoby się zastanowić z punktu widzenia chrześcijańskiego — ile jest słuszności i prawdy w tych ogólnych i częstych zarzutach, żartach i powiedzeniach, odnoszących się do stanowiska teściowej i świekry w rodzinie. Czy słuszną jest owa „zła opinja", jaką sobie wyrobiły, i czy nie dałoby się jej naprawić[1]).

Kimże jest teściowa? To matka panny, wychodzącej zamąż, — w stosunku do swego zięcia.

Kimże jest świekra? — To matka pana młodego, — w stosunku do swej synowej.

A więc i jedna i druga (czasem bywa nawet w jednej osobie, to znaczy, że ta sama kobieta, mająca zamężne córki i żonatych synów, może być równocześnie teściową i świekrą w jednej osobie) — to matka. Jakto, tak przecie wysławiamy cnoty, zasługi matek, ich poświęcenie dla dzieci i miłość... Aha, właśnie, *miłość* — otóż, podobno, większość braków, jakie zarzuca się teściowym i świekrom — pochodzi z miłości do własnych dzieci, — trzeba jednak dodać, że z miłości źle zrozumianej i niezbyt rozsądnej... Tę dziwną zagadkę rozwiążemy dopiero wtedy, gdy sobie przypomnimy, jaką powinna być wszelka prawdziwa miłość: ofiarna i bezinteresowna, czyli nie myśląca o sobie, a tylko o szczęściu ukochanej istoty. Tymczasem matki kochają często swe dzieci egoistycznie, to znaczy dla siebie samych, dla własnej radości, pociechy, ambicji, — nieraz nawet trochę po pogańsku: ubóstwiając je, chlubiąc się niemi, ustępując ich wszelkim zachciankom i nierozumnie rozpieszczając. Zapominają nieraz matki, dogadzając słabościom, pobłażając nawet czasami występkom swych dzieci, — o nakazach Bożych, o przepisach Kościoła, o moralności i uczciwości, — byleby dziecku było dobrze na daną chwilę. Taką miłość słusznie nazwać można krótkowidzącą, a nawet i ślepą, ponieważ lekceważy ona dobro trwałe i prawdziwe, dobro duszy swego dziecka — dla dogodzenia jego zmysłom, jego samowoli lub niskim instynktom.

Każda matka powinna najlepiej wiedzieć, jakie są nietylko zalety, *ale i wady* jej dziecka, powinna znać wartość jego charakteru. Tymczasem niejedna matka nietyle nie widzi złych stron we własnem dziecku, ile widzieć ich nie chce, gdyż jest zaślepiona, dzięki właśnie owej pogańskiej, nierozsądnej ku niemu miłości. Cóż stąd wynika? Gdyby matka znała swe dziecko i sprawiedliwie je oceniała — toby wiedziała, w czem musi ono się poprawić i czy jest skłonne do poprawy; wiedziałaby też, czy w razie zamążpójścia lub ożenienia się — dziecko jej potrafi odpowiedzieć tym trudnym obowiązkom, jakie nakłada małżeństwo. Czy syn jej ma dość uczciwości, stałości, pracowitości i odwagi, aby zostać głową domu, według nakazów Bożych, gdy będzie mężem i ojcem rodziny? Czy córka jej ma dość cierpliwości, słodyczy, zasad moralnych, wytrwałości, by podołać obowiązkom żony i matki? Odpowiednio do znajomości swych dzieci może rozumna matka, — nie przesądzając oczywiście wyroków Bożych, — układać pewne plany na przyszłość swych dzieci, a co najważniejsze — *omawiać z niemi ich przyszłość,* wskazując córce i synowi, jakie wady mają do opanowania, do poprawienia i jakie braki do wypełnienia sami, oraz jaki typ żony lub męża odpowiadałby im najlepiej co do charakteru i usposobienia. Np.: słabemu i niezaradnemu wypada raczej poszukać osoby energicznej, zaradnej na towarzyszkę; łagodnej, wrażliwej panience — męża delikatnego i subtelnego; skłonnemu do lenistwa lub lekkomyślności trzeba znaleźć żonę rozsądną, pracowitą, oszczędną, itp. Niedość przytem na dobrą żonę lub

[1]) Oczywiście, że każdy z nas zna wiele takich osób, które są na tem stanowisku wzorowe, czułe i poświęcające się, do nich więc te słowa się nie odnoszą.

męża czekać, trzeba także na nią lub na niego — z a s ł u ż y ć.

Tymczasem cóż się dzieje? Matki patrzą najczęściej na swe dzieci przez „różowe okulary", a więc nie widzą ich w rzeczywistości dość jasno. Toteż na pytanie: jakiego męża czy żony pragną matki dla swych dzieci, — odpowiedzieć można z całą szczerością, że pragną one i d e a ł u, to znaczy istoty doskonałej, bez żadnych wad i ułomności, a w dodatku takiej, coby znosiła wady i ułomności jej dziecka bez szemrania! Ponieważ istot doskonałych wogóle niema na świecie, dlatego trudno się dziwić, że tak rzadko marzenia matek o szczęściu małżeńskiem swych dzieci — zostają spełnione.

Pozatem jeszcze, sporo matek pragnie dla dzieci swych jakiejś wyśnionej „partji". Czemże ma być owa „partja"? To nietylko żona idealna lub mąż doskonały pod względem charakteru, ale ponad wszystko: osoba zamożna, na stałem stanowisku czy posadzie, lub „dobrze urodzona" — jakiś poprostu królewicz czy królewna z bajki!

Tak wysokie stawiając wymagania dla przyszłego zięcia lub synowej — przyszła teściowa czy świekra bywa zgóry nieprawidłowo względem nich usposobiona. Stąd łatwo o niezadowolenie, jeżeli osoba, której dotyczy wybór jej dziecka, jest tylko zwykłym człowiekiem, chociaż ułomnym, lecz który przy dobrej woli mógłby się zmienić na dobrego.

Nie należy więc pragnąć tego, co nie istnieje lub też wyjątkowo się zdarza, a lepiej sobie i dzieciom swym postawić za cel, aby ci, których wybiorą, odznaczali się przedewszystkiem zdrowiem, uczciwością, zasadami religijnemi, moralnemi i pogodnem usposobieniem wedle ludzkiej możliwości, — nie zaś aby byli „nad-ludźmi". Rodzice mają prawo, a nawet obowiązek, wypowiedzenia swego sądu co do towarzysza życia, przez ich dziecko wybranego, lecz niech sąd ten dotyczy najwyższych wartości tego towarzysza czy towarzyszki, nie zaś drobiazgów lub spraw czysto materjalnych, zewnętrznych, jak: majątku, urody, stanowiska itp.

Po ślubie zaś, chociażby nawet osoba zięcia czy synowej była niezupełnie po myśli teściowej lub świekry (naturalnie, w granicach przykazań Bożych i Kościoła) — nie powinna ona swego niezadowolenia ujawniać ani zamieniać go w krzywdzące uprzedzenie. Jeżeli naprawdę pragnie szczęścia dla swego dziecka, to postara się mu właśnie w nowem jego życiu sprzyjać, dopomagać, łagodzić; otoczy życzliwością macierzyńską zięcia lub synową, tego nowego członka rodziny, który może sam oddawna pozbawiony jest serca matki. Tymczasem tu właśnie zaczyna się zwykle tragedja niezadowolenia, krytyki, a nierzadko — i intryg pomiędzy małżonkami. Szczególnie, o ile młoda para mieszka razem z matką męża lub żony — zdarza się często na tem tle cała serja sprzeczek i wymówek, które później prowadzą do poważniejszych zatargów i kłótni, stwarzając nieszczęśliwe współżycie domowe i niesłychane udręczenia.

Jakże więc zapobiec temu złu lub je naprawić, — a pamiętajmy, że naprawić je zawsze można przy dobrej woli, jednak daleko lepiej go uniknąć, przewidując zgóry i nie dopuszczając do złych następstw. Otóż można sobie ułożyć takie przepisy: Zanim dziecko nasze wstąpi w związek małżeński: 1) zadajmy sobie pytanie, czy kochamy dzieci swe d l a s i e b i e, czy też dla nich? 2) Zastanówmy się, czy znamy swoje dzieci i jakie one są? Czy samodzielne, inteligentne, zaradne, — czy też bierne i słabe? Czy mają silną wolę i odporność — czy też są chwiejne i bez zasad? jakie mają zalety lub wady w stosunku do małżeństwa? Czem, jako matka, możemy zaradzić tym brakom?

Po ślubie swego dziecka: 1) Uzbrójmy się w wyrozumiałość, nie żądajmy odrazu od synowej czy zięcia doskonałości; zaczekajmy z wypowiadaniem słów ostrej krytyki. 2) O ile tylko można — niech teściowa ani świekra nie mieszka razem z młodymi, przynajmniej przez pierwsze lata. 3) W razie, jeśli z konieczności z niemi zamieszkuje, — niech nie utrudnia im pożycia mięszaniem się do każdej sprawy, krytykowaniem bezustannem; niech w razie niezgody nie utrudnia położenia plotkami czy intrygą pomiędzy małżonkami. W ten sposób — choćby się zła opinja teściowych nieprędko w oczach ludzkich zmieniła — zmieni się napewno ich stosunek do dzieci i stanowisko w rodzinie — na godniejsze i lepsze. *Fidelis.*

Roboty wiosenne w ogrodzie

Przy pielęgnowaniu roślin w inspekcie uważać trzeba, by według potrzeby regulować ciepło i światło.

O ile chodzi, by roślinki wykształciły **silne** korzenie (mianowicie przy kapustach) a nie wybiegały t. zn. żeby zbyt prędko nie wyrastały ich części zielone, co jest zawsze z krzywdą korzeni, koniecznem jest utrzymanie średniej temperatury w inspekcie (do 15 st. Celsjusza).

Okna podnosić, uważając naturalnie, by zimny wiatr nie miał dostępu. **Im dalej szyba od roślinki, tem mniej dążą ku górze jej zielone części,** a tem więcej **rozwijają się korzenie** i wówczas rozsada będzie niższa, ale grubsza w łodydze i mocno rozgałęziona w korzenie. Taka też po przesadzeniu w grunt dobrze pójdzie.

Przy sadzeniu kapusty w grunt (tak zwanem flancowaniu) dobrze jest, w dołki już gotowe, wlać nieco wody na pół z gnojówką, a gdy wsiąknie sadzić i wówczas już nawet przy suszy nie podlewać, gdyż ziemia skorupieje i nie ma dostępu powietrza. Przy wsadzeniu kapusty uważać, by korzenie się nie zawijały.

Gdy kapustę wsadzimy w grunt (dzieje się to zazwyczaj około 15 kwietnia, kalafjory później, gdy niema już obawy mrozów, bo nadmarznięte nie utworzą ładnych róż) to na miejscu kapust, sałaty musimy w skrzyni przepikować, czyli **rozsadzić** pomidory, sadząc takowe mniejwięcej co 10 cm.

Sadzić trzeba głęboko, pod pierwsze liścienie, co jest ważnem, aby dostały boczne korzenie. Pomidory tak przepikowane zostawiamy w skrzyni mniejwięcej do 20 maja (o dalszej hodowli napiszemy w numerze majowym).

Sałatę wysadzamy w grunt równocześnie z kapustami i między takową. Wcześniej będzie zużytą, więc nie zabierze miejsca kapuście, a oszczędzimy pola. Sałatom nic nie szkodzą nawet mrozy, zczerwienieje, ale potem się odnowi i da dobry plon. Najodpowiedniejszy na to gatunek to sałata: Królowa majowa. Pory i selery trzeba dobrze przerwać, by nie stały za gęsto i do końca maja zostawiamy jeszcze w inspekcie, dobrze wietrząc.

Gdy ziemia odtaje, możliwie w końcu marca, siejemy też już rozsadę kapuścianą na zwyczajnej grządce, dobrze namierzwionej nawozem przetrawionym (można brać wyrzucony z zeszłorocznych inspektów). Grządkę posypujemy piaskiem, uklepujemy i trzymamy dość wilgotno — w razie, gdyby się pokazały muszki, posypujemy popiołem.

W marcu trzeba się koniecznie zabrać do oczyszczania drzew owocowych i pobielania wapnem ga-

(Dokończenie na str. 36)

CZY DZIECKO SIĘ RODZI Z DOBRYM LUB ZŁYM CHARAKTEREM?

Trafia się czasem podsłuchać dość ciekawe rozmowy w wagonie, gdy się siedzi nieceremonialnie na walizkach i tłomokach, a zwłaszcza po urlopach świątecznych, kiedy są do udzielenia współtowarzyszom świeże wrażenia z wycieczek.



Jadę tak niedawno z kilkoma mężatkami w latach trzydziestu kilku, ich mężami, i innymi pasażerami, a słucham z uwagą: rozmowa się toczy o wychowaniu dzieci.

— Wiesz co Zosiu, — mówi jedna z nich, — co za pociechę mamy z dzieci mojej zmarłej siostry, tego nikt nie uwierzy: dziewczynka 12-letnia pilnuje naszych małych, a chłopczyk 14-letni pomaga mi już dużo w gospodarstwie. Jak je porównam z dziećmi naszej sąsiadki, to wprost anioły. A tamte? — pożal się Boże! — tylko aby spsocić każdemu, wyzwiskami obrzucić, i drugie dzieci gorszyć! Już doprawdy, — jak jedne tak drugie musiały się odrazu urodzić albo dobre, albo złe, bo szkoła nic a nic nie wpływa na ich postępowanie.

— A w dodatku, rzekł mąż, sąsiadka robi co może: gderze na dzieci, karze je, bije, — nic nie pomaga. Przed matką udają potulne, a za oczy dalej swoje robią.

— Co ojciec powiada na to, rzekła pani Zofja, czy nie wdaje się w postępowanie dzieci?

— Ojciec jest poza domem cały dzień, tylko w niedzielę widuje dzieci. Ale i to nic nie zmienia, bo p. Walczak jest tego przekonania, że do wychowywania dzieci jest w szkole nauczyciel, i że jeżeli on nie potrafi, to tem bardziej rodzice, niefachowcy, nie potrafią. Uważa, że szkoda trudu na ujadanie się z dziećmi.

— A twoje własne dzieci, Anielko, spytała pani Zofja. — Moja czwórka, odparła p. Aniela, ma rozmaite charaktery. Najstarszy Jaś chciałby dowodzić młodszemi, i jest strasznie zazdrosny o swoje znaczenie w domu. Druga, Andzia, jest potulna, ale, za plecami brata, porywa jego rzeczy i zabawki. Trzeci, Antoś, lubi się samolubnie bawić sam, budować, i majstrować. Czwarty, Józek psoci się wszystkim, wszystkiego chce dotknąć, i wszystko na swój sposób ustawić.

— A czy kto ma na nie wpływ? — rzekła pani Zofja.

— Wpływ, — niby tak. Można np. Jasiowi wytłumaczyć, że ma dawać dobry przykład młodszym, i niemi się opiekować. Wtedy ich tyle nie prześladuje, — a raz i drugi nawet ustąpi. A Andzię można namówić, żeby była usłużną, a Antosiowi, żeby spełnił jakiś urząd w domu, np. list zaniósł do skrzynki, a Józkowi np. żeby ścierał stolik po jedzeniu, — albo ojcu przynosił gazety, laskę, lub t. p. Takie polecenia dzieci lubią i chętnie je spełniają.

— To w takim razie, wtrącił się do rozmowy starszy pasażer — pani uznaje, że charakter daje się urabiać, i świetnie pani umie wybierać stosowne do tego czynności. A jakże pani myśli? Czy dzieci się z czasem dużo zmieniają?

— Na to ja odpowiem, wtrącił mąż. Miałem dużo kolegów ze szkoły, którzy już wyrośli na ludzi. Sądząc po jednych zdawaćby się mogło, że się wcale nie zmienili; a sądząc po drugich, trzeba powiedzieć, że już wcale nie są ci sami ludzie.

— A czemu pan to przypisuje?

— Nieraz o tem myślałem, ale to trudno określić. O jednych możnaby powiedzieć, że mieli dobrych rodziców, — o drugich, że dobrze wpłynął na nich ksiądz katecheta, o innych, że mieli dobrych kolegów, którzy ich zmienili. Ale te same przyczyny napewne nie podziałaby tak samo na innych.

— A zatem widzę, rzekł starszy pasażer, pan nie jest tego zdania, że człowiek się odrazu rodzi z dobrym lub złym charakterem?

— Właściwie nie, ale widząc ludzi bardzo porządnych obok ludzi dokuczliwych, ma się nieraz ochotę pomyśleć, że ludzie się odrazu tak urodzili.

— A jak sądzisz Anielko, spytała pani Zofja, czy dzieci sąsiadki nie dadzą na siebie wpłynąć podczas przygotowania do I-szej Komunji św.? To zwykle najsposobniejsza chwila, żeby nawet urwiszów zmienić.

— Myślę, że gdyby to były pilne dzieci, toby można jeszcze coś z nich zrobić, ale one unikają nauki jak ognia.

— A kto im pomaga w domu? czy matka?

— Nie, matka dba o swoje gospodarstwo, i biada, gdy dzieci siedzą w kuchni z książkami, a jej przeszkadzają. Wolałaby, żeby jej chłopcy drzewo rąbali, a dziewczęta naprawiały ubranie, albo chodziły z posyłkami.

— To ta pani sąsiadka ma wielkie wymagania od swoich dzieci, wtrącił znowu starszy pan: łaje, je, jak pani mówiła, nawet bije, — ale dobrego ziarna do duszy im nie zasiewa, — wobec tego ich dobre zalety, — a zapewne, i one je posiadają, — nie mogą wcale wyjść najaw. Te biedne dzieciaki są jak pole nieuprawione, — trudno żeby plon dało, bez przeorania i bez obsiewu.

— Tak, racja, nasza sąsiadka nie jest naprawdę to, co się nazywa dobrą matką.

— Widać, że i ona nie wierzy, żeby można urobić charakter dziecka — rzekł starszy pan bo i ona z pewnością starałaby się o to.

— Tak, to prawda. Ona o sobie też myśli, że ponieważ się urodziła niecierpliwa i gwałtowna, że już taką musi być z każdym; że się tego już nie zmieni. Nawet się chwali, że taką ona zawsze była, jest i będzie.

— A jakie pani ma o tem zdanie? zapytał jeszcze starszy pan. — Czy pani się też od dzieciństwa wcale nie zmieniła?

— Ależ i owszem, z pewnością, wtrącił mąż. Od czasu straty ojca i choroby matki, moja żona bardzo się zmieniła. Zaczęła być poważną, pracowitą, i bardzo pobożną, nieprawdaż Anielko?

— Tak, bo przedtem bałamuciły mnie koleżanki. A dopiero gdy musiałam wziąć odpowiedzialność za całe rodzeństwo, zrozumiałam jak niemądre były ich „modne" rady.

— I zaczęłaś urabiać swój charakter, wtrąciła pani Zofja, a w dodatku...

— Łaska Boża zrobiła swoje, — pocichu rzekła Anielka.

— Zatem, rzekł starszy pan, państwo mają zdanie trochę podzielone co do tego, czy można dziecko zmienić wychowaniem lub też nie. Sąsiadka mianowicie — nie dała się zmienić, pozostała od dzieciństwa złośnicą, — a pani, pani Anielo, — stałaś się pod wpływem okoliczności, ludzi, i własnej pracy, osobą całkiem inną. Czy to dowodzi, że zmiana otoczenia może człowieka przerobić?

— Sądzę, przerwała p. Zofja, że sama zmiana otoczenia nie wystarcza. Otoczenie, chociaż wpływa na nas, to jednak nas nie zmusza do takiego lub innego postępowania. Człowiek zachowuje przecież swoją wolną wolę.

— Ale koledzy mogą go zniewolić, — widzimy dość przykładów na to. Człowiek np. rzadko staje się pijakiem sam, rzekł mąż.

— Myślę, rzekła Anielka, że to też zależy kiedy przyjdzie pokusa. Niedarmo mówimy codzień w pacierzu: „nie wódź nas na pokuszenie". W każdym wieku są inne pokusy i inne upodobania. Więc to nie zależy tylko od otoczenia.

— Tak, wtrąciła p. Zofja. Na urobienie charakteru wpływają więc: rodzice, nauka w szkole, towarzysze, otoczenie i okoliczności. A mówisz jeszcze: i wpływy religijne?

— O tak, rzekła Anielka. Trzebaby być chyba ślepym, żeby nie widzieć jak się ludzie zmieniają pod wpływem, nietylko rekolekcyj, ale wogóle: Sakramentów.

— Pani mówi z takiem przekonaniem, rzekł starszy pan. Bardzo mnie to cieszy, bo często słyszę młode mężatki odzywające się całkiem inaczej.

— I ja takie znam, rzekła Anielka.

I tu się rozmowa urwała, bo już dojeżdżaliśmy do stacji końcowej.

A mnie zostały w uszach słowa p. Zofji: „Na urobienie charakteru wpływają: rodzice, nauka w szkole, towarzysze, otoczenie, okoliczności i siła samej religji".

Bronisława.

Nasz konkurs wychowawczy

W numerze listopadowym ub. r. Gazety dla Kobiet umieściliśmy konkurs wychowawczy, na który nadeszło szereg odpowiedzi, co świadczy o dużem zainteresowaniu naszych czytelniczek wychowaniem dzieci.

Najlepsze odpowiedzi nadesłały pp. Tekla Hylowa, Jordanów woj. Krakowskie, Jadwiga Grzesiakowa z Ostrowa pozn., Zofja L. Poznań-Górczyn, Poczekajowa z Bydgoszczy i Oddział K. S. K. z Budziszewka.

P. Poczekajowa i p. Hylowa otrzymują nagrody i to Mszaliki z modlitwami w czasie Mszy św. na niedziele i święta.

Trzecią nagrodę otrzymuje Oddział K. S. K. z Budziszewka, wyróżniony za pracę zbiorową. Oddział dostaje obraz Serca Jezusowego, rzeźbiony artystycznie w drzewie i półkę, rzeźbioną w drzewie, na której stawiać można kwiaty i świece przed obrazem.

Nagrodę dla Oddziału ofiarowała p. hr. Żółtowska z Czacza.

Ponieważ wszystkie odpowiedzi wyrażają te same myśli, a tylko w ułożeniu słów są odmienne, drukujemy tylko jedną odpowiedź i to odpowiedź p. Poczekajowej z Bydgoszczy, która najwięcej zastosowała się do kolejności pytań.

Odpowiedź

1. *Zachowanie tej matki było niezdecydowane i niestałe.*
2. *Powinna była zaraz, kiedy malec po raz pierwszy wyszedł z ławki stanowczo na to nie pozwolić.*
3. *Gdy dziecko wyszło z ławki, matka na to nic nie mówiła. Nagle pomimo, że dalsza zmiana w zachowaniu dziecka nie zaszła, poszła po dziecko i posadziła koło siebie, zwracała mu potem uwagi, które za każdym razem stawały się ostrzejsze. Powinna była uwagę zwrócić zaraz, początkowo, inaczej dziecko zostało wadliwem zachowaniem matki zupełnie wyprowadzone z równowagi i stało się uparte. Najlepszy dowód, że wyszło z ławki poraz drugi, na co matka znowu nie zareagowała. Najgorzej postąpiła, poszturchując je, a następnie wynosząc z kościoła, w dodatku, obsypując pocałunkami.*
4. *Matka swem zachowaniem okazała, że ma charakter bardzo niestały i że jest pozbawiona energji i stanowczości, które powinna posiadać każda matka.*
5. *Tak, od pierwszej młodości poleca się dziecko zabierać do kościoła.*

6. *Aby dziecko od maleństwa uczyć czcić i kochać Pana Boga i przez odwiedzanie kościoła przyzwyczajać do modlitwy od lat najmłodszych.*
7. *Małe dziecko, zanim się z niem wejdzie do kościoła, powinno się pouczyć, że idziemy teraz w gościnę do Bozi, a tam trzeba być grzecznym, i powiedzieć Bozi dzień dobry, bo Bozia jest dobry, stworzył ludzi, dzieci i chlebek nam daje i zapala słonko, żeby nas ogrzewało i kwiatki daje itd. Dlatego trzeba Bozię kochać, odwiedzić i siedzieć spokojnie, aby go nie obrazić i nie smucić.*
8. *Jeśli się małe dziecko zabiera do kościoła trzeba mu pomóc, to jest modlić się z nim razem, trzeba mu pomóc przeżegnać się i przypomnieć, że ma poprosić: Kochany Boziu, opiekuj się mamą i tatą itd. i nie siedzieć z dzieckiem w kościele zbyt długo.*
9. *Dziecko trzyletnie nie umie jeszcze modlić się samo.*
10. *Modlitwa tej matki nie była ani szczera, ani serdeczna, ponieważ dziecko odwracało jej uwagę i nie mogła skupić się, tem bardziej, że w niektórych momentach nie umiała nad sobą zapanować.*

ODPOWIEDZI LEKARKI

Otwieramy dział odpowiedzi lekarki na zapytanie w sprawach zdrowia i choroby. Chcemy, żeby te odpowiedzi służyły wszystkim czytelniczkom, a nietylko tej która nadeśle zapytanie. Czytajcie wszystkie, dla wszystkich piszemy.

PANI M. K. Z SOKOŁOWA.

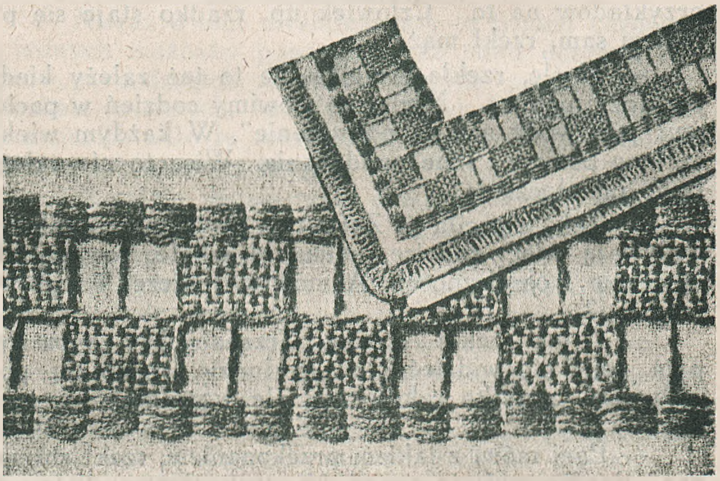
Pisze Pani, że dzieci Pani są nerwowe, niespokojne, miewają bóle głowy, nudzą się, miewają częste katary i pocą się". Przedewszystkiem pragnę Panią uspokoić, to nie są objawy „paraliżu" i tej choroby żadnym zastrzykiem nie można i nie trzeba leczyć. Jeżeli troje dzieci posiada podobne nerwowe usposobienie — dowodzi to, że to jest wrodzone u nich, a może odziedziczone po jednym z rodziców. Leczenie takiej „choroby nerwowej", a właściwie usposobienia nerwowego — jest bardzo trudne. Nie potrzeba żadnych lekarstw. Przedewszystkiem rodzice i otoczenie domowe musi być spokojne. Nie wolno dla tych dzieci być ani zbyt surową, ani zbyt pobłażliwą matką. Musi Pani uzbroić się w cierpliwość i pamiętać, że Pani zachowanie i każde słowo to są lekarstwa dla tych dzieci. Nie można takich dzieci zbytnio przemęczać nauką. Nie dawać im do czytania wzruszających książek. Nie opowiadać przy nich o strasznych wypadkach ani o chorobach. Nie prowadzić takich dzieci na przedstawienia, zalecić należy ostrożne stosowanie gimnastyki, spacerów. W lecie niech dzieci przebywają na świeżem powietrzu, możliwie bez ubrania, ale nie w słońcu. Nie stosować zimnych kąpieli. Dać dzieciom zajęcie w ogrodzie, albo pracę domową czy w gospodarstwie. Odżywiać normalnie i regularnie, podając dużo jarzyn i owoców; nie wolno podawać im kawy, herbaty i żadnego alkoholu. Tylko w bardzo ciężkich wypadkach, jak „kurcze" o których Pani pisze — trzeba udać się do lekarza po lekarstwo. Przy umiejętnem wychowaniu, dzieci te wyrosną na zdrowych ludzi.

Lekarka.

ROBOTY RĘCZNE

Haft na płótnie, którego wzór widzimy na powyższym rysunku, możemy zastosować jako brzeg do serwety na stół — do mniejszych serwetek lub też do upiększenia pochwy do serwetki, której część widzimy również na rysunku.

Po przerysowaniu wzoru na jasno szarem lnianem płótnie możemy wykonać haft bawełną lśniącą o 6 nitkach, zwaną „Muline" lub też wełną kolorową. — Kwadraty pełne haftujemy ściegiem-cerówki, robiąc dość duże ściegi od brzegu do brzegu rysunku i biorąc igłą tylko jedną nitkę w płótnie, w ten sposób aby nie było widać ściegu na wywrotnej stronie roboty — spowrotem robimy tak samo, przeplatając ścieg. — Obramowanie wzdłuż robimy równemi ściegami przed igłą, biorąc bardzo akuratnie nitkę, jedną pod drugą, w ten sposób, abyśmy po zrobieniu tych 4-ch rzędów, mieli wrażenie, że pasemka bawełny są przetrzymane stebnówką czyli ściegiem za igłą. — Całą tę robotę wykonujemy pasemkami bawełny z 6-ciu nitek — tylko cienkie linje rysunku dookoła kwadratów robimy 3-ma nitkami tejże bawełny ściegiem łańcuszkowym według podanego wzoru. — Brzeg serwety zakończamy szerszym obrąbkiem a robiąc pochwę do serwetki, dodajemy jeszcze małą wstawkę dookoła brzegu. — Kolory dobieramy dowolnie, albo utrzymujemy cały wzór w jednolitym kolorze, lub ścieg łańcuszkowy wykonujemy w odcieniu ciemniejszym.



ROBOTY WIOSENNE (Dokończenie ze str. 33)

szonem z wodą i nieco gnojówką. Koniecznem jest również usuwanie gałązek suchych i tych co o inne się ocierają lub rosną ku środkowi.

Gdy się chce sad założyć lub powiększyć należy brać tylko drzewka **dwuletnie,** bo choć **starsze** można nabyć znacznie taniej, to są one mniej wartościowe, bo **trudno się przyjmują,** a co najważniejsze nigdy nie dadzą dobrego plonu i zwykle karłowacieją. Do trzech lat takie drzewka obcinamy też w marcu, (ale tylko grusze i jabłonie, bo pestkowych nie ruszamy nożem wogóle), i to wycinamy boczne pędy do połowy zawsze nad oczkiem zewnętrznem, a pęd środkowy główny na 1/3.

Przy malinach, o ile nie zostały obcięte już w listopadzie, wycinamy wszystkie stare pędy przy ziemi, nowych zostawiamy pięć na krzaku i obcinamy do połowy wysokości.

Tak drzewka, jak i maliny winny być co roku jesienią i wiosną okopane szeroko, o ile można, z nawozem i koniecznie podlane pełną gnojówką.

Antonina Dąmbska.

Abonament roczny pod opaską . . . . 2.50 zł
W abonamencie wspólnym od 10 egz. rocznie . . . . . . 2.— zł
Abonament roczny dla członków K. S. K. wraz z przesyłką poczt. 1.80 zł
Telefon nr. 15-27 Konto czekowe 200 368.

Wydawca: Katolicki Związek Kobiet w Poznaniu. Za redakcję: Zofja Sicińska i Janina Kaźmierska. Adres redakcji: Gazeta dla Kobiet, Poznań, Aleje Marcinkowskiego 1. — Tłoczono w Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu, na papierze z własnej fabryki „Malta".